

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9 róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostymów bluzek
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.

Sprzedaż materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

MAURYCY LEBLANC.

WYDRAŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

25

(Dokończenie).

Pohamował się i rzekł z przekonaniem:

— Zapomni! Zapomni, gdyż poświęciłem dla niej schronisko Igły wydrażonej, poświęciłem swe skarby, władzę, dumę... poświęciłem wszystko... nie chcę być już niczem... niczem, tylko człowiekiem, którego kocha... człowiekiem uczciwym, ponieważ ona może kochać tylko uczciwego... Dlaczego ja nie mogę być uczciwym?

Słowa te wyrwały mu się z duszy jakby bezwiednie.

— Wszystkie rozkosze, jakich zażyłem w swem awanturczym życiu, nie są warte wejrzenia jej, gdy spogląda na mnie z uśmiechem... Czuje się wtedy słabym i chcę płakać...

Zbliżali się do starych drzwi, służących za wejście do fermy.

Lupin zatrzymał się na chwilę i rzekł:

— Dlaczego ja się boję?... Jakies przecucie... Czy sprawa z wydrażoną Igłą jeszcze nieskończona? Czy los nie chce zgodzić się na rozwiązanie, jakie ja wybrałem?

Elżbieta obróciła się z niepokojem.

— Cezaryna biegnie.

Rzeczywiście żona strażnika biegła szybko od strony fermy.

Lupin pospieszył ku niej:

— Co? Co się stało? Mówcie.

Zadyszana kobieta ledwie zdołała wymówić:

— Jakis człowiek... widziałam jakiegoś człowieka w salonie...

— Ten sam Anglik, co rano?

— Tak, lecz w innym przebraniu.

— Widział was?

— Nie. Widział pana matkę. Pani Valmeras spotkała go, gdy wychodził.

— I co?

— Powiedział, że szuka swego przyjaciela Ludwika Valmerasa.

— A pani co?

— Pani odpowiedziała, że syn jej wyjechał w podróż... w długą podróż...

— I on odszedł?...

— Nie. Przez okno wychodzące na pole dał jakiś znak, jakby wołał kogoś.

Lupin zdawał się wahać. Naraz rozległ się jakiś straszny krzyk. Elżbieta zawołała:

— To twoja matka... poznaję...

Podbiegł do niej i chwytając ją silnie za rękę, pociągnął za sobą.

— Choć... uciekajmy... ty naprzód...

Lecz w tej samej chwili zatrzymał się zmieszany.

— Nie, nie mogę, to wstętnie... Przebac mi, Elżbieto... biedna kobieta... Pozostań tu... Beautrelet, nie opuszczaj jej.

I pobiegł szybko ku fermie, aż do bramy wychodzącej na pole.

Elżbieta, której młody uczeń nie mógł utrzymać, przybyła tam prawie jednocześnie razem z nim, Izidor zaś, stojąc za drzwiami, ujrzał jak przez drogę przechodziło trzech mężczyzn, z których jeden wyższy szedł na przodzie, dwaj inni zaś prowadzili pod rękę szamocącą się i krzyczącą głośno kobietę.

Dzień miał się już ku schyłkowi, mimo to Beautrelet poznał Sherlocka Holmesa. Kobieta ta była już w starszym wieku. Błądą jej twarz ocieniały siwe włosy. Zbliżali się wszyscy razem. Doszli do bramy, którą otworzył Holmes. Wtedy podszedł ku nim Lupin i stanął wprost nich. Spotkanie to wydawało się tem straszniejsze, iż było milczące, prawie uroczyste. Przez dłuższą chwilę obaj przeciwnicy mierzyli się wzrokiem. Nienawiść wzajemna skrzywiła im twarze. Nie ruszali się. Wreszcie Lupin odezwał się z jakimś grobowym spokojem:

— Każ swym ludziom puścić tę kobietę.

— Nie.

Moglioby się zdawać, iż jeden i drugi obawia się wszczynać walki i że obydwaj zbierają swe siły. Nie padło tym razem ani jedno słowo zbyteczne, ani jedno przekleństwo, ani jedno szyderstwo. Panowało martwe milczenie.

Szalona z niepokoju Elżbieta oczekiwała na wynik tego pojedynku. Beautrelet chwycił ją za rękę i nie pozwolił jej się poruszyć.

Po chwili Lupin powtórzył:

— Każ swym ludziom puścić tę kobietę.

— Nie.

Lupin rzekł znowu:

— Słuchaj, Sherlock...

Przerwał zaraz, czując, iż słowa będą daremne. Wobec tego kolosa dumy i energii, zwanego Holmesem, cóż mogły znaczyć groźby! Zdecydowany na wszystko, wsunął rękę do kieszeni. Anglik, przewidując ten ruch, podskoczył do swego więźnia i przyłożył mu do skroni rewolwer.

— Nie ruszaj się, Lupin, bo strzelę.

Jednocześnie dwóch jego pomocników zwrócił swe rewolwery w Lupina.

Wtedy wyprostował się, pohamował swą wściekłość i z rękami w kieszeniach i z piersią wystawioną wprost na nieprzyjaciela, powtórzył:

— Holmes, po raz trzeci mówię, puść tę kobietę...

Anglik roześmiał się.

— Może nie można się jej dotykać? Dosyć już tej blagi! Nie nazywasz się ani Valmerasem ani Lupinem, skradłeś te nazwiska, jak również i nazwisko Charmerace. A ta, którą ogłaszasz za swą matkę, jest Wiktorya, twoja stara współniczka, co cię wychowywała...

Sherlock dopuścił się jednego błędu. Uniesiony pragnieniem zemsty spojrzął na Elżbietę, którą słowa te jakby kamienowały. Lupin skorzystał z jego nieroztropności. Szybkim ruchem wyciągnął rękę z kieszeni i padł strzał.

— Ach! przeklęty! — krzyknął Holmes, którego ręka przestrzelona w ramieniu opadła wzdłuż ciała.

Zwrócił się do swych pomocników:

— Strzelajcie że! Strzelajcie!

Lupin jednak skoczył już na nich i nie upłynęło dwóch sekund, jak jeden leżał na ziemi, trzymając się za boki, a drugi padł na płot ze strzaskaną szczęką.

— Wiąż ich, Wiktoryo... A teraz na nas kolej, Angliku...

Zaraz jednak nachylił się i zaklął:

— Ach! Kanalia!...

Holmes przełożył broń do lewej ręki i mierzył.

Strzał... okrzyk przerażenia... Elżbieta skoczyła pomiędzy obu mężczyzn. Zachwiała się, przyłożyła rękę do gardła, wyprostowała się i padła u nóg Lupina.

— Elżbieto!... Elżbieto!

Ukląkł przy niej i chwytając w swe ręce, przyciskał ją do piersi.

— Nie żyje — rzekł.

Stał jak oślepiały. Holmes zdawał się być zawstydzony swym czynem. Wiktorya szeptała:

— Mój mały... mój drogi...

Zdawało się, że nie rozumie jeszcze całego ciosu.

Nagle jednak twarz jego skrzywiła się z bólu. Wstrząsnął się cały, uczynił kilka bezwładnych ruchów, naraz zacisnął pięście, zatupał nogami jak dziecko i w przystępie szału rzucił się na Holmesa z okrzykiem:

— Guń nędzniku!

Jednym strasznym uderzeniem zwałił z nóg przeciwnika, schwycił go za gardło i zatopił mu palce w ciało.

Anglik rzeżał, leżał bez ruchu.

— Dziecko moje, dziecko — błagała Wiktorya...

Podbiegł Beautrelet. Lupin jednak puścił już swą ofiarę i padając na ziemię zaczął łkać boleśnie.

Rozrzewniająca scena! Wryła się ona na zawsze w pamięć Beautreleta, który znał bezmierną miłość Lupina dla Elżbiety, który wiedział o wszystkich jego poświęceniach, by uzyskać jeden objaw radości swej ukochanej.

Noc zaczynała pokrywać mrocznym całunem pole walki. Związani i skrupowani Anglicy leżeli na trawie. Z oddali dochodziła nuta jakiejś rzewnej piosenki. Ludzie z Neuvillette powracali do domu po pracy.

Lupin powstał. Przez chwilę przysłuchiwał się dolatującym go odgłosom. Potem spojrzął na dom, w którym spodziewał się żyć w szczęściu u boku Elżbiety. Zwrócił następnie zażawione oczy na swą ukochaną, która leżała tu pogrążona w wiecznym śnie.

Ludzie z fermy zbliżali się. Lupin nachylił się, wziął umarłą w swe potężne ramiona i przyciskając ją do piersi swej, ręce jej zarzucił sobie na szyję.

— Chodźmy, Wiktoryo.

— Chodźmy, moje dziecko.

— Do widzenia, Beautrelet.

I milczący, zapłakany, ze swym strasznym a tak drogim sobie ciężarem, odszedł w towarzystwie swej starej służącej w stronę morza i znikł wkrótce w ciemnościach...

Koniec.

Restauracja

pod firmą

A. SUSKI, Plac Dominikański

pod kierownictwem

Stan. Wołkowskiego

Potrawy sporządzane tylko

Bufet

obficie zaopatrzone.

PIWO

Pilzneńskie, Bawarskie i Okocimskie.

na świeżem maśle.